



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Aleksander Anderson

## Skazani na pamięć o wojennej gehennie

### 1. Kres beztroskiego dzieciństwa i początek straszliwej wojny

Moja nieżyjąca już mama Olga Wojtczak, z poprzedniego małżeństwa Anderson, której składaliśmy życzenia z różnych okazji prawie zawsze uzupełniała je głośno własnym „i oby nie było wojny”, co dla towarzyszących nam dzieci urodzonych po wojnie wydawało się mało zrozumiałe, wręcz dziwne. Natomiast dla mnie miało to głęboki sens i wynikało z wojennych bolesnych doświadczeń.

Okropności II wojny światowej dosięgły mnie 2 lata po jej wybuchu, w niewielkim mieście Kirowsk, niedaleko Leningradu (obecnie Sankt Petersburg w Rosji). Moja ówczesna rodzina, będąca wówczas obywatelami Związku Radzieckiego, składała się oprócz mnie z mamy Olgi, ojca Marcina i młodszej ode mnie o 2 lata siostry Wali. Ojciec pracował w miejscowej elektrociepłowni w charakterze buchaltera (księgowy), a mama, jak się wówczas mówiło, była przy mężu.

Miałem wówczas zaledwie 6,5 roku i dlatego w mojej pamięci zapisały się jedynie pojedyncze obrazy, jak porozrzucane zdjęcia, zwłaszcza wydarzeń z początku wojny.

Zapamiętałem, że moje dzieciństwo miało szczęśliwy początek. Chodziłem z rodzicami na spacer. Przesiadywałem na kolanach ojca. Pamiętam jak bawiłem się w przedszkolu i w ogródku jordanowskim. Występowałem nawet w jakiejś dziecięcej sztuce, w której grałem kota, który zgodnie ze scenariuszem ogonem nieostrożnie potracił jajko, które rozbiło się i to było wtedy moim największym przeżyciem.

Na co dzień częstowany byłem słodyczami i owocami. Wspominam o tym, dlatego że w czasie całej okupacji niemieckiej nie tylko, że nie jadłem tego, ale nawet nie widziałem. Zapomniałem, że coś takiego istnieje.

I to wszystko, co było normalne, skończyło się wczesną zimą 1941 roku. Jednym z pierwszych zapamiętanych przeze mnie obrazów wojny jest ciemna piwnica naszego bloku mieszkalnego, w której wraz z rodzicami i siostrą oraz innymi mieszkańcami osiedla ukrywaliśmy się przed bombardowaniem i ostrzałem Niemców. Z zewnątrz dochodziły przerażające odgłosy wybuchów. Potem nastąpiła cisza, a następnie łomot w drzwi i gwałtowne ich otwarcie. W drzwiach stanęli żołnierze Wehrmachtu, brutalnie świecąc latarkami elektrycznymi w oczy i głośno krzycząc „raus!” (wynocha).

Wybiegliśmy przerażeni. Oddzielono mężczyzn i pognano ich w nieznaną. To był mój ostatni kontakt z ojcem. Potem oglądałem go tylko na ocalałych zdjęciach.

Po jakimś czasie mama dowiedziała się od pewnego mężczyzny, któremu udało się zbiec z obozu, że ojciec był również z nim. Ów mężczyzna mówił, że byli bici i cierpieli głód. Namawiał nawet ojca do

wspólnej ucieczki, ale on nie zdecydował się. Dziś domyślam się, że był to obóz filtracyjno-prewencyjny, w celu dokonywania selekcji i przeciwdziałaniu ucieczkom do partyzantki.

Jakiś czas później od kolejnej osoby, której także udało się uciec z obozu dowiedzieliśmy się, że ojciec wraz z większą grupą podjął próbę ucieczki, podczas której niestety został zastrzelony przez niemieckich wartowników. Była to ostatnia informacja o ojcu.

Tymczasem ja z mamą i siostrą znaleźliśmy się w strefie frontu wojennego, który zatrzymał się na linii blokady Leningradu. Trzeba było jak najszybciej opuścić ten rejon. Mama skleciła sanki, zbijając naprędce skrzynię z desek i mocując prostopadle do jej dna dwie równoległe deski, jako płozy. Do sanek włożyła, co się dało zabrać z mieszkania, posadziła mnie i siostrę, przymocowała sznur od wieszania bielizny do przedniej części sanek i zaczęła ciągnąć przed siebie byle dalej od frontu.

Rozpoczęła się droga porównywalna chyba tylko do biblijnej Golgoty. Widziałem jak mamie jest ciężko. Było mi jej żal. Wyskakiwałem z sanek i popychałem je, zwłaszcza, gdy droga była pod górkę. Nie wiedziałem, że droga wydająca się płaską była w rzeczywistości dla nas tak stroma. Nie pamiętam jak długo tak wędrowaliśmy oraz gdzie i w jakich warunkach mieszkaliśmy. Pamiętam natomiast, że wcześniej zaczęliśmy odczuwać codzienny głód. Wokół było pełno uchodźców. Wraz z grupą dzieciaków zacząłem chodzić od domu do domu, prosząc o jedzenie. Nie przypominam, abym kiedykolwiek coś dostał. Ludzie byli biedni, proszących coraz więcej, a ja byłem wśród nich najmniejszy, nieśmiały i zazwyczaj ostatni w kolejce po jałmużnę. Szukałem jedzenia po śmietnikach, ale na ogół nie znajdowałem. Raz tylko ucieszyłem się, ale na krótko, gdy znalazłem jakąś kość. Zobaczył to dorosły mężczyzna, wyrwał mi ją z rąk i uciekł. Rozplakałem się żałośnie.

Ale był też moment radości i to za przyczyną wroga. Podszedłem kiedyś z innymi chłopcami pod kuchnię polową Wehrmachtu i gdy żołnierze byli już nakarmieni, my też dostaliśmy po pół menażki grochówki. Och, jaka ona była smaczna.

Żałowałem bardzo, że dostałem tylko jeden raz i tak mało. Teraz, gdy widzę zebrzących i grzebiących w śmietnikach przypominają mi się tamte sceny.

I zastanawiam się, czy tak musi być?

Kolejny obraz, który zapamiętałem to już zorganizowana przez Niemców ewakuacja. Podstawiono wiele sań zaprzężonych w pary koni. Mnie z siostrą dosadzono do obcych nam ludzi, a naszą mamę bezdusznie ulokowano na innych saniach i długo, bardzo długo wieziono bezkresnym zaśnieżonym traktem. Po drodze widziałem okropne sceny, budzące grozę i strach, bez możliwości przytulenia się do mamy. Spalone i wyludnione wsie, w których na gruzowiskach domostw sterczały tylko kominy, jak wyrzuty sumienia. Na przydrożnych słupach telegraficznych, służących oprawcom za szubienice, wisieli z przechylonymi na bok głowami powieszoni mężczyźni. Zauważyłem, że byli w marynarkach, gdy w tym czasie panowały siarczyste mrozy. A zatem, albo zdjęli im wierzchnie odzienia przed egzekucją, albo byli powieszoni bardzo dawno temu. Mordercy szczególnie wykorzystywali poprzeczki słupów w kształcie dużej litery „A”, stojące przy skrzyżowaniach dróg. Domyślam się, że na poprzeczce takich słupów łatwiej było wieszać, a i efekt odstraszący był większy, bo po krzyżujących się drogach przemieszczało się więcej ludzi.

Niestety nie był to koniec dantejskich scen. Pamiętam jak dziś: między jezdnią drogi a rowem, na poboczu, zauważyłem w jednym szeregu dużą grupę mężczyzn, kobiet i dzieci, siedzących w kucki ze spuszczoneymi spodniami i majtkami, w pozycji załatwiania potrzeby fizjologicznej. Gdy zbliżyliśmy się do nich okazało się, że nie żyją. Domyślam się, że po długiej podróży zrobiono im przerwę, ludzie byli wyczerpani fizycznie, a był wyjątkowo silny mróz – najzwyczajniej zamarзли w takiej pozycji. Pozostawiono ich, bo byli już niegroźni i bezwartościowi dla III Rzeszy Niemieckiej.

Moja podróż saniami trwała nadal przez zaśnieżone pola i lasy. Wreszcie po jakimś czasie dojechaliśmy do niewielkiej miejscowości. Wyładowano nas.

A ponieważ nasza mama była na innych saniach, które gdzieś zawieruszyły się, mnie z siostrą posadzono bezpośrednio na zmrożonej ziemi, opierając nasze plecy o ścianę budynku gospodarczego. Jak długo czekaliśmy na mamę, nie pamiętam. Dziwna rzecz, ale nie pamiętam też abyśmy płakali.

Potem ulokowano nas w jakiejś chałupie. Położono pokotem w barłogu, mnie obok siostry i chyba natychmiast zasnąłem. Przed świtem dotknąłem machinalnie ręki siostry, która wydawała mi się nienaturalnie zimna. Obudziłem mamę. Okazało się, że Wala nie żyje. Leżąc obok mnie zmarła cichuteńko z wycieńczenia i wychłodzenia. Tego samego dnia mieli nas transportować dalej. Dlatego mama obudziła gospodarza, który wykopał dołek pod gruszą w sadzie i tam bez trumny zakopano Walę, jak kociątko.

W ciągu miesiąca – dwóch, z czteroosobowej szczęśliwej rodziny zostałem sam z mamą.

W czasie dalszej ewakuacji dotarliśmy do etapowego obozu. Zapamiętałem go dobrze, a szczególnie wydarzenia, jakie miały tam miejsce. Obóz jak obóz: baraki, pośrodku piec, od którego wzdłuż odchodził murowany kanał w jedną i drugą stronę baraku, którym powinno rozchodzić się ciepło, trzypiętrowe twarde prycze, ludzka ciżba, a wokół obozu płot z drutu kolczastego i posterunki stałe oraz ruchome patrole. Było zimno i głodno. Mama postanowiła nielegalnie wyjść poza obóz, przez dziurę w płocie za

przyzwoleniem „dobrego” wartownika, aby motek włóczki, który posiadała wymienić na chleb. Gdy wracała natknęła się jednak na innego wartownika. Ten zatrzymał ją, zabrał chleb i spowodował osadzenie w areszcie (izolatce). Wobec mieszkańców baraku, w którym byliśmy zakwaterowani, zastosowano zbiorową odpowiedzialność – pozbawiono jednego posiłku. Co to znaczyło dla wygłodniałych ludzi dziś można się domyśleć. Na domiar złego podczas pobytu w obozie mama zachorowała na tyfus (dur plamisty), który szerzył się przenoszony przez wszy, które żarły nas niemiłosiernie. Położono ją w szpitalu obozowym.

Zostałem ponad miesiąc sam wśród obcych. Mimo, że choroba zbierała obfite żniwo mamie udało się wyzdrowieć. Po wyjściu ze szpitala włączono nas do grupy przeznaczonej do wywiezienia do pracy przymusowej.

Była wiosna 1942 roku. Załadowano nas do wagonów bydłowych i powieziono w kierunku Prus Wschodnich. Tę podróż zapamiętałem z tego powodu, że jadąc przez wiele dni bez przerwy w zamkniętych, dusznych wagonach zabrakło nam wody. Jeżeli poprzednio doświadczałem głodu, to tym razem poznałem uczucie długotrwałego silnego pragnienia, gdy zasychało mi w ustach i piekło w przełyku, gdy chciało się bardzo, bardzo pić. Wreszcie nadzieja na zaspokojenie pragnienia, bo zbliżamy się do jakiegoś miasta. Pociąg zwalnia i staje pod semaforem na wysokim nasypie. Stoi zbyt długo jak dla ludzi spragnionych picia. Niektórzy nie wytrzymują i z butelkami, kubkami w ręku wyskakują. Staczają się z nasypu i biegną w kierunku najbliższego budynku, aby dostać coś do picia.

Wnet lokomotywa gwizdże i pociąg rusza powoli. Zawracają, gramolą się w górę po nasypie, starają się chwycić wagonu i wskoczyć do niego. Wydawało się, że nie wszystkim udało się wrócić do pociągu. W tej sytuacji byłem uradowany, że mama nie zdecydowała się wyskoczyć po wodę.

Wjechaliśmy na stację. Jak się okazało było to Grodno (przed wojną miasto polskie na Kresach Wschodnich). Była wreszcie woda, chyba do napełniania zbiorników parowozów. Łapczywie zaspokoiliśmy pragnienie, zachłystując się pić. Wkrótce wypędzili nas z wagonów i zagnali do łaźni. Odzież i bieliznę musieliśmy oddać do specjalnych komór, w których w bardzo wysokiej temperaturze poddano je dezynsekcji (odwszawianiu). Gdy przebywaliśmy pod prysznicami, w łaźni wybuchł pożar. Wygnali nas na dwór, zupełnie nagich. Dopiero po czasie przywieźli koce, którymi okryliśmy się przed zimmem. Trzeba było czekać na ubrania. Niestety swoich rzeczy, które oddaliśmy do odwszawiania nie odzyskaliśmy już, bo spaliły się. Rzucono nam byle jakie używane łachmany, niedopasowane do naszego ciała i buty nie od pary, niewłaściwych rozmiarów.

Po latach spotkałem panią, która podczas wojny mieszkała w Grodnie, a jej ojciec pracował w tej właśnie nieszczęsnej łaźni. Opowiedziałem jej, co przydarzyło mi się w Grodnie podczas wojny. A ona powiedziała ze smutkiem, że to jej ojciec był nieumyślnym sprawcą tego pożaru. Przy okazji odwszawiania do komory włożył własny kozuch. W kieszeni, przez nieuwagę, pozostawił paczkę zapalek. To spowodowało pożar, za co został przez Niemców rozstrzelany. Ostatecznie w maju 1942 roku zostaliśmy przywiezieni do Prus Wschodnich do majątku rolnego Horsta Büchlera w Lindenhaus (obecnie Bołotnikowo), w pobliżu miasta Schlossberg (obecnie Dobrowolsk).

Pierwsze, co zapamiętałem to podanie nam na stół dwóch średniej wielkości miednic wypełnionych po brzegi ugotowanymi ziemniakami w łupinach i kwaszoną kapustą. Rzuciliśmy się na nie i nie czekając na talerze, sztuce, nie obierając ziemniaków z łupin, nie soląc, na stojąco zaczęliśmy łapczywie wciskać jedzenie do ust. Wreszcie mogliśmy zaspokoić głód, który doskwierał nam niemiłosiernie od prawie pół roku.

## 2. „Normalne” życie wywiezionych na roboty przymusowe

Rozpoczęło się życie wywiezionych na roboty przymusowe, mające dla nas po dłuższej tułaczce znamiona normalności.

Zamieszkaliśmy w oficynie, do której przylegało pomieszczenie przeznaczone dla psów – psiarnia. Nie pamiętam jak wyglądał lokal, w którym mieszkaliśmy, ale zapamiętałem ową psiarnię. Wyglądało to mniej więcej tak jak obecne dobrze prowadzone schronisko dla zwierząt lub zoo, z tym, że lokatorami były tylko psy rasowe. Były ładne, ale niestety na mój widok zawsze głośno ujadły.

Horst Büchler był bogatym człowiekiem. Oprócz nieznaney mi wielkości majątku ziemskiego posiadał samochód osobowy, konia wierzchowego i dwa do bryczki, nie licząc pociągowych. Miał też osobistego lekarza. Jego dom miał ładną fasadę, a za domem był park. Do ciężkich prac polowych był wykorzystywany traktor, jeżeli starczało paliwa.

Ludzką siłę roboczą przede wszystkim stanowili robotnicy przymusowi, mówiący sami o sobie – niewolnicy. Było ich kilkunastu. Zapamiętałem trzy rodziny, które były z dziećmi, tj. rodzinę Jana Kasiaka, Stefana Mrozowskiego i Stanisława Żółtowskiego oraz trzech kawalerów: Jana Szymajdę, Franciszka Witkowskiego i Józefa Wojtczaka. Do nadzoru robotników, oprócz Büchlera, było jeszcze dwóch innych Niemców – Skerra, który często bił robotników przymusowych i emeryt „Stary Rudath”,

który kłął na wszystko i wszystkich (dorośli domyślali się, że na Hitlera także). Mama wykonywała wraz z innymi prace w polu. Wydaje mi się, iż z tego względu, że była najmłodszą i mieszkała w pobliżu w oficynie – czasem otrzymywała polecenie pracy w charakterze pomocy domowej u właściciela. Ja natomiast miałem możliwość przebywania z dziećmi robotników przymusowych (dwóch synów Büchlera trzymało się od nas z daleka), ale wolałem być z dorosłymi mężczyznami – Polakami, a szczególnie z młodymi kawalerami Frankiem Witkowskim i Józefem Wojtczakiem. Pod koniec wojny mama i Józef pobrali się i w ten sposób znów miałem ojca.

Mój drugi ojciec został zatrudniony u Büchlera, jako robotnik przymusowy w 1941 roku, będąc przywiezionym ze Stalagu I-A. Trafił tam we wrześniu 1939 roku po bitwie pod Jakubowem koło Sochaczewa, gdzie był wzięty do niewoli niemieckiej jako cywil, obsługujący tabor wojskowy przewożący amunicję (w 1982 roku został odznaczony medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939”).

Pracował przede wszystkim jako fernal, czasem powoził Büchlera bryczką, a także wykonywał inne czynności. Pewnego razu był zatrudniony przy pielęgnacji drzew owocowych, a ja towarzyszyłem mu w tych czynnościach. Zrobił wówczas coś nie po myśli nadzorującego Niemca Skerry, który zaczął okładać ojca pięściami, a on nie bronił się wcale. Byłem zaszokowany. Oślupiałem, będąc świadkiem tego zdarzenia.

Towarzysząc ojcu poznawałem również pracę na roli, obsługę maszyn rolniczych m.in. pług wieloskibowego, kultywatora, kosiarki, snopowiązałki i grabiarki do siana, a także młocarni poruszanej lokomobilą parową albo silnikiem elektrycznym. Przy tej ostatniej czynności nieświadomie, z ciekawości włożyłem palec do gniazda trójfazowego zasilania elektrycznego. Na szczęście skończyło się to tylko silnym „targnięciem”. Od tej pory mając do czynienia z urządzeniami elektrycznymi jestem ostrożny, myślę za nim coś zrobić.

Obsługując konie bawiłem się zarazem. Ale i one mogły być niebezpieczne. Kiedyś wspólnie z ojcem podczas młócenia zboża woziłem do spichlerza ziarno w workach. Na tę okazję wóz był specjalnie przygotowany. Skrzynia wozu zamiast dwóch bocznych desek miała jedną, aby łatwiej było zdejmować worki. W drodze powrotnej po kolejny omlot zamiast usiąść na dnie skrzyni stanąłem oparty o tę jedyną boczną deskę. Konie biegły szybko. Na wyboju wóz podskoczył, deska uderzyła mnie w plecy i jak z katapulty zostałem wyrzucony z wozu. Odruchowo głowę podniosłem do góry, ale oba przedramiona dostały się pod tylne koło. Na szczęście wóz był nieobciążony, a pod kołem pole było miękkie. Skończyło się na lekkich zadraśnięciach, siniakach i strachu.

Innym razem przechodząc środkiem stajni, jeden z koni niespodziewanie wierzgnął obydwoma tylnymi nogami, uderzając mnie w pierś kopytem. Upadłem, ale nic mi się nie stało. Od tej pory, mimo że wychowywałem się na wsi, boję się koni. Nigdy nie podchodzę do nich od tyłu.

To tyle okupacyjnej „sielanki”.

### 3. Nawrót wojny

Wiosną 1944 roku wojna ponownie dała o sobie znać. Niemcy cofali się. Uznali, że rosyjskie czołgi mogą powstrzymać rowy przeciwpancerne. Dlatego do ich kopania na wysuniętych rubieżach przy granicy z Litwą posłano moją mamę. Pamiętam, że zanim wywieziono na okopy (tak się mówiło) nie dawałem poznać, że boję się o to, że może nigdy nie wrócić, że zostanę sam na zawsze (było to jeszcze przed zawarciem związku małżeńskiego z Józefem Wojtczakiem). Gdy tylko samochód z mamą zdążył odjechać, po raz pierwszy od początku wojny, zacząłem przeraźliwie głośno, spazmatycznie płakać. Chyba dorosłem na tyle, że uświadomiłem sobie, iż ta ostanía względna stabilizacja może zakończyć się utratą ostatniej, najbliższej mi osoby.

Na szczęście tak się nie stało. Po dwóch tygodniach mama wróciła cała i zdrowa. Rzekomo powróciła za wstawiennictwem Büchlera, który potrzebował jej do pracy u siebie. Byliśmy znów razem.

Jednak front wschodni nieuchronnie zbliżał się do granic Prus Wschodnich.

W styczniu 1945 roku Büchler zdecydował się opuścić Lindenhaus i udać się na terytorium przedwojennych zachodnich Niemiec. Przygotowano dwa wielkie parokonne wozy przykryte plandeką (podobne do wozów z amerykańskich westernów), dodatkowo zaprzęgnięto dwa konie do osobowego samochodu, gdyż brakowało paliwa.

I tak ruszyliśmy w nieznanym dla mnie kierunku. Tym razem uciekinierami byli: Horst Büchler, niedawno poślubiona jego druga żona, jego matka i dwaj synowie oraz ich osobisty lekarz, dr Dannapel, który jechał własną bryczką. Obsługę stanowił ojciec i moja mama. I mnie też zabrano ze sobą.

Na drogach był niesamowity tłok wywołany przez niemieckich uciekinierów, panicznie bojących się dostać w ręce Rosjan. Bojaźń wynikała pewnie na skutek nazistowskiej propagandy, ale także z powodu dokonanych przez nich bestialstw.

Gdzieś po drodze porzucono samochód. Wciąż byliśmy w Prusach Wschodnich. Pozostałe dwa wozy dotarły do majątku ziemskiego kuzyna Büchlera, w okolicy Królewca (obecnie Kaliningrad). Pozostaliśmy

tam jakiś czas. Po czym Büchler, zabierając swoją rodzinę i nas, nakazał jechać jednym wozem w pobliże portu Pillau (obecnie Bałtyjsk) nad Zatoką Wiślaną. Büchler z rodziną zatrzymał się w jakimś domu, a my w stajni razem z jego końmi przy samym brzegu zalewu.

W tym czasie zniknął wraz z bryczką osobisty lekarz Büchlera. Przez wiele dni z rzędu ojciec woził do portu rodzinę Büchlera, która chciała zaokrętować się na niemiecki statek, aby uciec przed nacierającą armią radziecką. Ja z mamą pozostawaliśmy w stajni i wyczekiwaliśmy powrotu ojca. Stajnia miała tę zaletę, że była tam słoma, w której można było zagrzebać się i spać, a nawóz koński wydzieliał pożądane ciepło.

Rejon portu i zatoki był systematycznie bombardowany przez samoloty radzieckie. Byliśmy świadkami powietrznych bitew myśliwców radzieckich i niemieckich. Niejednokrotnie samoloty spadały ciągnąc za sobą smugi dymu. Po którejś próbie, 14 lutego 1945 roku Büchler dostał się w końcu na statek i odpłynął ze swoją rodziną, pozostawiając ojcu dwa konie i wóz, a także w ostatniej chwili kuferek, którego nie pozwolono zabrać na statek ze względu na ograniczenia. Büchler prosił ojca, aby zakopał ów kuferek, a po wojnie podzielił się z nim jego zawartością. Wręczył także pismo, w celu okazywania niemieckim władzom wojskowym i cywilnym, aby udzielały nam niezbędnej pomocy i pozwoliły korzystać z parokonnego zaprzęgu (nie wiem, co stało się później z tym dokumentem).

Niestety, gdy ojciec po wyjeździe z portu zszedł z wozu w celu załatwienia potrzeby fizjologicznej ktoś nieznany nagle wskoczył na wóz, zaczął okładać batem konie i galopem uciekł. Niezwłoczne poszukiwania nie dały rezultatu. Złodziej, raczej nie Niemiec, wcześniej chyba obserwował ojca i pewnie widział przekazywanie kuferka. Ojciec wrócił do nas pieszo.

Pozostaliśmy w tamtym rejonie aż do wyzwolenia, do początku kwietnia 1945 roku. Nie głodowaliśmy, bo Niemcy uciekli, pozostawiając kopce z ziemniakami i resztki jedzenia w opuszczonych domach i piwnicach. Wojna miała się już ku końcowi, ale śmierć wciąż czyhała na każdym kroku.

Pewnego razu wyszliśmy na plażę i zobaczyliśmy przeraźliwy widok. Na przestrzeni chyba około pół kilometra, co kilkanaście, kilkadziesiąt metrów leżały zwłoki w różnych pozach, ubrane w więzienne pasiaki. Przypominało mi to upiorną scenę z początku wojny, z grupą zamarzniętych na śmierć „siedzących” w kucki przy przydrożnym rowie. Ktoś spotkany widząc nasze przerażenie powiedział, że są to pewnie więźniowie, którzy byli zatrudnieni przy wydobywaniu bursztynu. Zostali zastrzeleni podczas ucieczki, albo celowo podczas przemarszu, aby nie trzeba było ich konwojować.

Front był już tuż, tuż. Dochodziła do naszych uszu kanonada dział, widzieliśmy coraz częściej dym pożarów. Schowaliśmy się do piwnicy, wybudowanej w skarpie, w której schroniło się wraz z nami pełno cywili. Wokół słychać było wybuchy i świst pocisków. Nagle wtargnęli do piwnicy niemieccy oficerowie, ale nie wygnali nas. Kazali jedynie ścieścić się. Zamontowali połowy aparat telefoniczny, przez który wydawali rozkazy gromkim, nerwowym głosem. Przez uchylone drzwi widziałem stojącego pod drzewem radzieckiego jeńca wojennego wystawionego na niebezpieczeństwo bezpośredniego ostrzału. Po chwili żołnierze Wehrmachtu opuścili w pośpiechu piwnicę zabierając jeńca. Wsiadli na motocykle i odjechali. Po krótkim czasie do piwnicy wpadli żołnierze radzieccy z pepeszami gotowymi do strzału. Pytali o żołnierzy niemieckich, rozglądając się czy nie ma ich wśród nas i szybko pobiegli dalej. My, zaskoczeni i wystraszeni nie zdążyliśmy nawet odpowiedzieć na ich pytanie, chociaż był wśród nas Niemiec, który nieco wcześniej zdjął przy nas mundur (nie zapamiętałem jaki) i założył ubranie cywilne.

Nareszcie byliśmy wyzwoleni, ale nie od śmierci i kalectwa. Wychodząc z piwnicy, na moich oczach pod nogi jednego z cywili pada zabłąkany pocisk, chyba granat z mózdzierza, wybucha i urywa część stopy. Do dziś mam przed oczyma widok dyndającej, poszarpanej i broczącej krwią pięty.

## 4. Wolność

Nareszcie koniec wojny, koniec hitlerowskiej okupacji i zbrodniczej eksterminacji. Koniec wojennej gehenny.

Rodzi się wreszcie pytanie: co robić z odzyskaną wolnością, będąc poza rodzinnym krajem?

Udajemy się w kierunku Olsztyna. Idziemy pieszo, niosąc niewielkie tobołki. Mijają nas w kierunku zachodnim niezliczone oddziały armii radzieckiej na samochodach i konno, z dużą ilością sprzętu wojskowego. Katusze (artyleria raketowa) zamontowane na podwoziach samochodów produkcji radzieckiej (GAZ) i chyba amerykańskiej. Armaty ciągnięte dużymi ciągnikami gaśnicowymi („stalinięcy”), ale także konnymi zaprzęgami. Na łąkach wielkie ilości stojących samolotów dwupłatowych („kukuruźniki”), które jak się później dowiedziałem służyły, jako lekkie nocne bombowce.

Radzieccy żołnierze na postojach grali na harmoniach, bałałajkach, śpiewali, tańczyli kozaczka. Byli młodzi i widać było jak cieszą się, że wojna jest bliska końca. Jeździli i uczyli się jeździć na rowerach, których pewnie wcześniej nie mieli. Nie przeszkadzało im, że niektóre rowery nie miały ogumienia.

Widziałem niestety także leżących upitych żołnierzy, a obok nich ślady po wymiocinach. Pewnego razu na cmentarzu zobaczyłem podziurawioną pociskami dużą figurę Chrystusa na krzyżu. Mówiono, że był to

wynik strzelania czerwonoarmistów do pasyjki Chrystusa, dla zabawy. Innym razem pytali nas kilkakrotnie czy posiadamy zegarki, mimo że ojciec miał zegarek kieszonkowy, zaprzeczaliśmy. Obawialiśmy się, że mogą go zabrać.

To przykłady jak wojna deprawuje.

Nie wiem jak długo szliśmy do Olsztyna. Wokół widzieliśmy ogromnisz zniszczeń. Ludzkie zwłoki były grzebane, za to końskich leżało mnóstwo ze wzdętymi brzuchami i rozchylonymi jak nożyce nogami. Czuć było charakterystyczny fetor rozkładającej się padliny. Czasem wstępowaliśmy do opuszczonych domostw, szukając pożywienia i znajdowaliśmy. Pod jednym domem stał mały drewniany „drabiniasty” wózek, który zabraliśmy. Włożyliśmy do niego tobołki i ciągnąc poszliśmy dalej. W innym miejscu była maszyna do szycia „Singer”, z nożnym napędem. Odłączyliśmy stół wraz z napędem, a zasadniczą maszynę zabraliśmy, jako prywatną „kontrybucję” za utraconą przez mamę maszynę do szycia z ręcznym napędem. Maszyna ta przydaje się później do nicowania starych rzeczy i przeróbek ubrań ojca dla mnie. Innym razem znaleźliśmy dwa nowe pilniki do metalu, które po powrocie do Polski sprzedane miejscowemu kowalowi pozwalają kupić mi zeszyty szkolne i “Elementarz” Mariana Falskiego do I klasy szkoły podstawowej, do której poszedłem z trzyletnim opóźnieniem. Z takim też „poślizgiem” podjąłem później pierwszą pracę zawodową.

Wreszcie docieramy do Olsztyna. Zajmujemy w śródmieściu opuszczone przez Niemców dwupokojowe umeblowane mieszkanie. Ojciec rozgląda się za pracą. Ja biorę opisany wózek i ciągnę na sąsiednią ulicę, której płaszczyzna jest pochylona pod pewnym kątem. To pochylenie wykorzystuję do zabawy. Wciągając wózek na górną część ulicy, a następnie wsiadam do niego i podnosząc dyszelek do góry oraz trzymając go za poprzeczkę jak kierownicę – zjeżdżam w dół. Czynność tę powtarzałem nieskończoną ilość razy. Bawiłem się świetnie. Zmęczony, ale szczęśliwy, wracając do mieszkania wózek zostawiłem pod domem. Za chwilę już go nie było, zmienił właściciela. W tamtych czasach było to normalne. Przed ostatecznym zadomowieniem w Olsztynie ojciec postanawia jednak wrócić z nami do swojej matki i brata zamieszkałych we wsi Miłonice, w powiecie kutnowskim.

Ściągamy z okien mieszkania welurowe kotary i zabieramy je. Jest to nasz ostatni „łup wojenny”. Z zasłon, na zdobyczej maszynie, mama szyje kurtki i kamizelki dla nas. Idziemy na dworzec w Olsztynie i przygodnymi towarowymi pociągami po kilku dniach dojeżdżamy do stacji kolejowej Krzewie. Potem dwa kilometry pokonujemy pieszo i po długiej wojennej tułaczce nareszcie jesteśmy w domu ojca.